Tom XVI. Nr. 3.

21. stycznia 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Józef Muczkowski

syn kmiecy, uczony Polak.

W Krakowie jest wielki cmentarz, a na tym cmentarzu stoją to krzyże poświęcane, to kamienne nadgrobki, to znowu z kamienia wyrabiane osoby prawie na każdym grobie nieboszczyków katolików, a potem stoją napisy nabożne, gdzie wypisane imię i nazwisko i zasługi nieboszczyków. A kto ciekawy dowiedzieć się, gdzie i jaki tam umarły pochowany, to ma jeno przejść się po cmentarzu, ma sobie te napisy przeczytać, a dowie się o każdym nieboszczyku. A zaś grabarze tamci to znają doskonale grób każdy i potrafią opowiedzieć każdemu ciekawemu o życiu i śmierci nieboszczyka, którego zapamiętali i grób mu kopali.

Otoż razu jednego zaszło tam na ten cmentarz kilku, gazdów od Krakowa i zmówili pacierz za dusze zmarłych, czapki pozdejmowali i chodzili z poszanowaniem od grobu do grobu, a jeden z nich piśmienny czytał głośno napisy i opowiadał to drugim, a potem odmawiali przy każdym grobie: Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie!

Aż natrafili także na jeden grób, gdzie był napis na krzyżu taki: „Tu leży Józef Muczkowski, bibliotekarz i uczony Polak; prosi przechodnia o pobożne westchnienie.“

Piśmienny gazda Jan Boruń, odczytał go na głos i powiada:

— Cały ten napis wyrozumiałem dobrze, że ten Józef Muczkowski był mądrym i znał widać dużo na książkach, bo tu stoi powiedziane, że uczony Polak; ale co to ma znaczyć bibliotekarz, to mi przez głowę nie może przejść.

Podumali nad tem i drudzy gazdowie, aż jeden powiada na to:

— Co tu sobie główę niepotrzebnie łamać, lepiej zapytać kogo, co się na tem rozumie, a on nam tu wyłoży wszystko od A do Z jak potrzeba. Ot może grobarz to zgadnie.

I poszli do grobarza staruszka, który znał Krakowian, bo się między niemi wychował, a znał i gróby na cmentarzu, bo od dziadka jeszcze nasłuchał się różności o tych grobach, a znowu sam wykopał niejednemu znajomemu grób swoją ręką i płakał z drugimi, jak mu wypadło kłaść kogo do grobu i pamiętał sobie, co też xiądz w kazaniu o nieboszczyku na cmentarzu mówił, albo co też opowiadali inni panowie.

Jak przyszli ci gazdowie do niego, powitali się po katolicku i po polsku, a Jan Boruń zagadał tak:

— Mój panie grobarzu! wy się tu zestarzeli między temi krzyżami na cmentarzu, i znacie doskonale każdy grób i napis; otoż bądźcie łaskawi opowiedzieć nam o Józefie Muczkowskim, którego grób niedaleko stoi.

— Aha! — rzecze grobarz stary — to ja już wiem, bo ja za życia znałem tego dobrego pana, on tu chodził po cmentarzu nie raz i odpisywał sobie te napisy, i dużo mi opowiadał ciekawości o niejednym nieboszczyku. Otoż ja wam tu opowiem całe jego życie od początku do końca, a nawet wiem, zkąd on pochodzi, jakich miał ojców, gdzie chodził do szkoły, kiedy tu osiadł w Krakowie, co tu robił dobrego i na co umarł.

Gazdowie stali, a grobarz usiadł na grobie i tak jął opowiadać:

— Widzicie gazdowie, że to i z chłopa na wsi może dziecko jedno i drugie zostać ezemś dobrem i znacznem między

ludźmi, jak jeno ojcowie podbają o dziecko i dopomogą mu wedle sił i możności — bo to każdemu daje Bóg pomoc do dobrego, jak jeno kto chce go się nauczyć.

Na to powiada Jan Boruń:

— A czy to ten Muczkowski nieboszczyk pochodził z chłopskiego stanu? bo jakoś mi się nie zdaje, aby mógł chłop kiedy aż do tego doprowadzić, żeby został takim mądrym, jak on był.

— A co wy też pleciecie! — powiada grobarz — toć każdy chłop ma ciało i duszę od Boga, jak wszyscy ludzie, toć i chłop polski jest katolikiem i ma pomoc od Boga, jak wszyscy; toć i jemu stoją szkoły otwarte wszędzie jak na ten przykład każdy kościół, jakby jeno się chciał uczyć i uczyć, toby się wyuczył jak wszyscy — bo uważacie! wszak już nieraz z chłopskiego rodu byli biskupi, jenerały, urzędniki i Bóg wie, jacy ludzie; toż i ten Muczkowski był także z chłopa rodem. On mi to sam opowiadał i nie wstydził się tego, owszem cieszył się, że i jemu dopomógł Bóg i ludzie dobrzy do takiego stanu.

— A zkądże to on pochodził? — pytali gazdy.

— Zkąd pochodził? — rzecze grobarz — toć nie z miasta ani dworu jakiego bogatego, ale z prostej kmiecej chałupy. Ojciec jego Marcin Muczkowski, a matka Kaśka, byli kmieciami we wsi polskiej Maszki, niedaleko miasta Lublina, co to teraz trzyma Moskal w swych pazurach i trapi tamtych biedaków. Toć pewnie wiecie, gdzie leży miasto Lublin, bo to nie tak daleko od granicy z Galicji. Otóż widzicie! ten pobożny kmieć Marcin miał grunt, ale co to znaczy grunt, jak gazda nie mądry, albo nie sztuder; jak nie chodził do szkoły i nie robi koło gruntu tak, jak to teraz zaczynają robić, a grunt wyda dwa razy tyle, co dawniej — toż takim mądrym był Marcin, a kobiecina jego to poszukać gospodyni, i było widać gospodarstwo dobre; był tam u nich dobry rozum, kiedy każde ich dziecko wyuczyło się na wsi czytać, pisać; a ten Józef umiał najlepiej na każdej książce i on uczył drugie dzieci.

— To prawda! — mówili na to gazdowie — że jak się uda które i chłopskie dziecko, to mu nie wyrówna kto bądź z miasta, albo i z dworu; ale trza to i na to dużo nakładu i nauki.

— A wy jak myśleli — rzecze grobarz — toć nic a nic nie wlezie darmo do kieszeni nikomu, a chyba złodziejowi jednemu; a do głowy aby co dobrego wlazło i tam zostało, to trza bardziej pracować niż pługiem na zagonie. Otóż i ten Józef Muczkowski, kiedy był chłopakiem wiejskim, to się wyuczył na wsi na książkach; a jak mądry ojciec pouważał, że szkoda chłopca obrócić na pastucha albo parobka, toż ubrał go trochę z pańska, wsadził na wóz i w jesieni zawiózł go do Lublina; tam mu wyszukał stancję, zostawił jedzenie i nakazał chłopcu, aby nie pilnował figlów, ale książki, i słuchał profesora i xiędza, którzy go uczyli na książkach i katechizmu.

— No! a jakże się uczył w szkole? — pytali gazdy.

— Co się uczył, to się naprawdę uczył — rzecze grobarz — nie marnował pracy ojca, co rok szedł do wyższej szkoły; pokończył szkoły niemieckie, poszedł do szkół łacińskich i za dziewięć roczków, znał wszystko, czego się uczył w tych szkołach. A ojciec mądry nie przerywał mu szkoły, ale pomagał i płacił do ostatniego krajcarka. Ale urwało się biednemu szkolarzowi Józkowi, i to naraz wszystko.

— A to co takiego było? może się ojciec zubożył przez te szkoły? — pytali gazdy dalej.

— Ale, ale — mówi grobarz — jeszcze się żaden ojciec nie zubożył dla dobrego dziecka; jeno to się stało, że stary ojciec Marcin umarł, i zostawił wdowę z dziećmi w chałupie, a znowu tego Józka szkolarza zostawił w szkołach, które trza było kończyć. Józek szkolarz pochował ojca, napłakał się na pogrzebie za cały czas, a potem porobił matce porządek w domu, przyjął parobka do roboty w gospodarstwie i tak powiada matce:

— Otoż matko dobra! ja nie zostanę w domu, ale idę do szkoły, abym ci potem odpłacił, coście na mnie wydali.

I zostawił matkę i poszedł. Ale jeszcze gorsza bieda druga na niego czekała, bo niedługo umarła matka i dopiero teraz kłopot wielki dla szkolarza Józka.

— No! i cóż on też teraz zrobił? — pytali gazdy.

— Ha! — powiada grobarz — zrobił jak najlepiej! Wrócił jak dobre dziecko na pogrzeb matki, sprawił jej pogrzeb, uci-

szył płacz w domu, najstarszego brata zrobił gospodarzem, dał mu stryka za opiekuna i tak mu gadał:

— No, pamiętajże bracie! abyś siostrom nie robił krzywdy, abyś z sąsiadami żył w zgodzie i miłości, abyś się Boga bał i starszych słuchał i pilnował pracy ojcowskiej — ale możeby ci było za ciężko robić na tyle sierót, to ja wezmę brata najmłodszego z sobą do Lublina, tam go okryję i będzie ze mną do szkoły chodził; a Bóg pomoże, że i on na co dobrego wyjdzie. I zabrał brata małego i odjechał.

Gazdowie podumani na to, mówili:

— A to dopiero dobra dusza ten Józek! ale jakże on żywił sam siebie i brata?

— Jak żywił? — rzecze grobarz — to robił Bóg, ludzie i dobry Józek; onci uczył po domach pańskie i mieszczańskie dzieci, brał za to dukaciki, a z tego zarobku żyli razem z bratem i chodzili oba do szkoły. Ale umarł mu i ten brat; a on napłakał się za nim, kupił mu trumnę, sprawił pogrzeb, a sam poszedł do Krakowa jeszcze na ostatnie szkoły,

— A czy mu też pomagał co brat? — pytali gazdy.

— Jakiżby to był brat — mówi grabarz — żeby bratu do dobrego ręki nie podał? Ale Józek miał głowę na karku, a w tej głowie siedziała tam już nie jedna mądra cała książka, toż ożenił brata w domu, siostrę jedną wywianował, a sam dalej do Krakowa między dobrych panów i księży, i zaraz podybał tu jednego dobrego profesora Czapskiego, co mu dopomógł do nauki, i uczył się dobrze. Ale myśli on sobie w swojej głowie tak: Dopomagał mi ojciec, ludzie i Bóg do szkół, toż wypada za to krajowi polskiemu odsłużyć. A była wtedy u nas gwardja, toż zapisał się do gwardji, i był 2 roki wojakiem. A jak wysłużył w wojsku, znowu wrócił do szkoły, i dobry jeden xiądz profesor Jaroński ratował go w biedzie i pomagał mu w nauce. Otóż widzicie, że nigdy dobry człowiek nie ginie między ludźmi, i dopnie swego na końcu. I chłopskie dziecko wychodzi z czasem na mądrego człowieka.

— No — spytali gazdy — czemże ten Józek biedny potem został?

— Ha! — rzecze grobarz — mógł on być xiędzem i jakim profesorem albo urzędnikiem, bo miał do tego dobrą głowę. Ale on jeszcze oprócz szkoły chodził sobie w wolnym czasie do domu jednego, gdzie jest dużo starych i nowych książek, i tam sobie wybierał różne książki i uczył się z ochoty własnej. A widzicie ten dom z książkami, co go fundował król polski Jagiełło, zowie się biblioteką Jagiellońską, i taki dom stoi do dziś w Krakowie, a taki znowu mądry Polak, co to doziera tego budynku z książkami, zowie się u nas bibliotekarzem i ma za to płacę roczną.

— Aha! odezwał się gazda Jan Boruń, to może ten Józef Muczkowski był kiedy takim dozorcą nad tym budynkiem z książkami, ta dla tego stoi napis na jego grobie, że był uczonym polakiem i bibliotekarzem.

— A trafiliście doskonale, rzecze grobarz, bo tak było naprawdę! Jak on tam do tej biblioteki krakowskiej chodził, jak wyrozumiał tam wszystkie książki i wiedział gdzie jaka książka stoi po wielkich szafach, toż jak pomarł taki bibliotekarz mądry Bandtkie, to tego Józefa Muczkowskiego, choć on z chłopa pochodził, obrali zaraz profesorowie w Krakowie na takiego bibliotekarza i był on takim sobie mądrym panem przy tych książkach i w tym budynku jakie 25 lat brał za to pieniądze, pomagał krewniakom we wsi Maszkach, gdzie się urodził; i jak kto przychodził do niego i prosił go, aby mu opowiedział co o tych książkach, to mu zaraz opowiadał a do tego jeszcze sam pisał, co tam w tych książkach stoi, aby każdy Polak o tem wiedział.

— A na cóż on umarł? pytali gazdy.

— Umarł na to, czem zarabiał, rzecze grobarz, był on bardzo ciekawy do wszystkiego, co to robili króle, pany i xięża w polskim kraju, a gdzie jeno podybał jakie ciekawości po starych kościołach, dworach, wsiach to zaraz wypisywał i i drugim to opowiadał. Otoż raz wypisywał on w Katedrze na Wawelu stare obrazy i podniósł bardzo głowę do góry, aby zobaczyć i wtedy zalała mu krew mózg i skonał, i tu pochowany. Przeżył 63 lat.

Gazdy pomodlili się za jego duszę.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Nä cmentarzu.

Kogo nadzieja zwodziła,
Kto nie miał szczęścia do ludzi,
Kogo wyczerpana siła
Próżną już walką nie łudzi,
Ten wreście idzie ku tobie
Pod opiekę cichy grobie!

Tobie znosi król korony,
Pęta więzień uwolniony,
Torbę żebraczą ubogi,
A skąpiec pieniądz swój drogi
Wszystko to złoży pospołu
Ręka grabarza u dołu.

* * *

Nic nie gubi nasza ziemia
Nieustanna jest jej praca,
Ziarno znikłe w proch rozplemia,
Znowu bierze, znowu wraca.

Gdy jest cnota na tym świecie,
Gdy przyjmuje z nas ofiary,
Zmartwychwstaniem wszyscy przecie,
Tak jak głosi słowo wiary!

Nic nie idzie do zatraty,
Co przed naszem okiem ginie,
Z drzewa opadają kwiaty,
Z drzewa owoc się wywinie!

Żółtym liściem wiatr powieje
Bo go życie opuściło,
Ach nie życie w niem żółcieje,
Ale miejsce kędy było.

Więc kto ludzką godność ceni,
Z męztwem żal pojednać trzeba,
W grób patrzymy zasmuceni,
Lecz wesoło patrzmy w Niebo!

K. B.

Dokąd prowadzi nauka z cnotą.

Opowiedział Tadeusz Korwin.

(Ciąg dalszy.)

VI.

We dworze.

We dworze w pokoiku ogrzanym południowem słońcem, przed stolikiem, nad którym wisiały obrazy Świętych i na krzyżu rozpięty Odkupiciel, klęczała pani domu.

Mogła mieć wzwyż czterdziestki a ubior jej czarny był tak skromnym, że ani jedna błyskotka nie świeciła na nim. Na twarzy jej przebijały się: pokora chrześciańska, łagodność anielska i miłość bliźniego.

Dziewczyna pokojowa weszła i powiedziała, że jakaś kobieta chce mówić z panią. Wstała więc, zamknęła książkę nabożną, z której się modliła, i kazała ją przyprowadzić.

Tą kobietą była Hafja, matka Semeńka.

— A jak się macie Hafjo? — zapytała pani — czy może córka wasza znów chora?

— Nie Wielmożna pani — odpowiedziała Hafja całując rękę pani — ta woda coście jej dali, jakby cudem pomogła.

— Łaska to pana Boga, moja Hafjo.

— Toć pewnie Wielmożna pani i dobroć wasza, że biednych ratujecie w chorobie. Dziewczyna zdrowa jak rybka, wczora brała konopie, dziś kartofle kopie.

— Tylko nie dawajcie jej zanadto pracować moi drodzy! Wiem, że to dziewczę robocze, a po chorobie sił jeszcze nie ma!

— Gdzie to nam biednym się pieścić, jak nie zapracuje, jeść co nie będzie. Bóg wielki doda sił do pracy!

— Dobrze to i chwalebnie ufać Bogu — dodała pani — lecz znowu grzechem to, spuszczać się zupełnie na jego łaskę i miłosierdzie. Nieprawdaż że jest powiedziano: „Módl się i pracuj.“ Toć znaczy: ufaj Bogu a pamiętaj o sobie!

— Ot, kłopot nowy Wielmożna pani, stary Hawryło oddaje do Buczacza wnuka, taj mojemu Semeńkowi ta nauka tak zajechała w głowę, że się gwałtem napiera do szkoły. Wprawdzie szkoda tego, co się nauczył u naszego profesora, bo to choć mój syn, ale po prawdzie chłopak sprytny a do nauki się nie poleni. Ale my ubodzy.

— Wiem ja moja Hafjo, lecz przy Bożej a dobrych ludzi pomocy możeby dało się to zrobić.

— Otoż ja zatem przyszłam do Wielmożnej Pani, bo mój Semeńko ciągle a ciągle mi mówił, że Wielmożna pani jakoś w tem poradzą.

— Bóg widzi, że radabym wam dopomódz i w głowę nad tem zachodzę. Lecz oto pan idzie, on nam da swoją radę.

Z drugiego pokoju wszedł dziedzic wioski, a z uśmiechem zadowolenia rzekł:

— Słyszałem ja o co wam idzie, i jest właśnie na to rada. Kwiatkowska, która to w Buczaczu studentów trzyma, potrzebuje chłopca do usług. Ostatnim razem kiedy tam byłem, mówiła o tem mojemu Janowi, więc może zechce wziąć wa-

szego Semeńka. Napiszę do niej. Chłopak wraz ze studentami mógłby chodzić do szkoły, a jak się rozglądnie w mieście, to może lepiej sobą rozrządzi. Na początek i to dobre.

— Ależ mężu kochany, Semeńko nie zna usługi; Kwiatkowska nie będzie miała zeń wygody i trzymać go nie zechce.

— I na to jest rada moja duszko. Szkoły rozpoczynają się aż za miesiąc, niech Hnat da syna do nas, a przy starym Janie wyuczy się trochę, bo to chłopak przytomny a rozgarniony. Zresztą nie Święci garnki lepią. Cóż wy na to Hafjo?

— Dziękuję ja Wielmożnemu panu za jego łaskę dla nas, jak się rozgadam z moim, przyprowadzę chłopca i oddam go już państwu.

— A ja — dodała pani — za ten miesiąc co będzie u nas, sprawię mu obuwie i każę mu uszyć bieliznę z mego płótna.

Hafja ucałowała kolana państwa za ich dobroć i pobiegła do chaty rozmówić się z Hnatem.

V.

Hawryłowa chata.

Naprzeciwko starej chaty ojców Semeńka, stała sadyba Hawryły, Iwasiowego dziada.

Oj był to bogacz nie lada: po cudzych wsiach znali jego kare koniki, co jak wiatr pędziły z wozem. Sześć wołów siwych orało gtunt jego i pomiarki sąsiadów, które od nich brał w procent Bo stary Hawryło miał sporo grosza; a komu go dawał to pewnie nie darmo, nie od tak z przyjaźnej chęci lub ku poratowaniu biednego, lecz dla własnego a dobrego zysku.

Nie daremnie to Hafja mówiła, że u niego stogów jak gwiazd na niebie, bo gumno pełne, a na oborze cztery krase krówki porykują gładkie i niegłodne.

Rozmaicie ludzie opowiadali o początku bogactw Hawryłowych, lecz to pewna, że będąc przez lat kilkanaście gazdą u miejscowego proboszcza, człeka nader pobożnego, ztąd zbytnie ufającego drugim a do gospodarki niezdarnego, Hawryło w sposób mniej uczciwy sporo uciułał grosza, nakupił dobytku i z księżego drzewa chatę postawił.

Powiadano, że nie jeden korczyk zboża, nie jedna skóra z padłej jegomościnej krowy przenosiły się na obejście Hawryłowa. W lat dopiero wiela Jegomość się opamiętał, kazał przywołać do siebie Hawryłę, we cztery oczy wypalił mu kazanie, że aż się sam spłakał, a twardego grzesznika nie poruszył. Więc się rozłączyli.

Otąd Hawryło rozpożyczając pieniądze w przednowku, biorąc za to w procencie pola, coraz to bogaciał, a ożeniwszy jedynaka syna z córką bogacza sąsiedniej wioski przymnożył jeszcze majątku.

Syn wkrótce po ożenieniu umarł, została mu tylko synowa, kobieta młoda, przystojna, a lubiąca hulać i umizgać się. Więc roje młodych parobczaków cięło do niej koperczaki, a Hawryło, który cudzą wódkę za kołnierz wylewać nie był zwykły, przyzwalał na częste traktamenta i hulatyki.

W wiosce nie lubiano Hawryłę, już to że biednych zdzierał, fantował — i pomiatał niemi jak nie Bożem stworzeniem, już to choć mądry dla siebie, rady nikomu nie udzielił, a rad kpinkował i drwił sobie z wszystkich i ze wszystkiego.

Do cerkwi zazierał rzadko, chociaż rok w rok woskowe świece z własnej pasieki kładł na ofiarę; z dworem darł koty, od wspólnych gromadzkich powinności wykręcał się sianem. Więc nie miał miru u panów gromady — a wójtostwo zawsze go mijało.

Dzisiaj pozostał mu tylko wnuk Iwaś, tego do szkół oddać zamierzył. W jakim celu? To już Iwaś wygadał w rozmowie swojej z Semeńkiem — oto, aby się nauczyć używać grosza, a nie dać się okpić ni panu, ni żydowi.

Wszystko więc szło tam nie po Bożemu, więc i nauka miała chłopca prowadzić raczej ku złemu, a nie ku dobremu. Ale poczekajcie moi mili, wnet ujrzymy, czyśmy odgadli prawdę.

VI.

Semeńko terminuje.

Hafja przyszedłszy do chaty zastała swego spoczywającego na ławie. Więc z kopyta opowiedziała mu o co ją prosił Semeńko i co jej radzono we dworze.

Hnat małomowny ale uparty jak prawowierny Rusin, nie tak łatwo dał się przekonać o potrzebie oddania syna do szkoły. Lecz gdy poczciwa kobiecina, którąby dziecku swemu rada przychylić nieba, zawiodła go do xiędza plebana, a potem do dworu; a Jegomość i dziedzic nakładli mu w uszy, co to za pożytek dla sprytnego chłopaka, jak się uczyć będzie na większą chwałę Boga: to choć pomrukiwał swoje dawne, że nie dla chłopa książka, przecie przyzwolił.

Oddano więc Semeńka do dworu, a choć stary zrzęda, Jan lokaj, pomrukiwał z razu na nowego terminatora, wnet jak cały dwór polubił chłopca, który myśli jego chciałby odgadywać. Nawet kucharz co zwykł szturkańcami obdzielać hojnie kuchcików i niezdarne kredensowe chłopaki, a często gęsto, chociaż od pani strofowany, tłuc garnki na głowach garderobiannych dziewek, które mu żelazkami wystudzały kuchnię — nawet kucharz ni jednem słówkiem nie połajał usłużnego i grzecznego Semeńka.

Przy sprycie a dobrych chęciach wkrótce poduczył się usługi, a wieczorami gdy Jan stary odmawiał różańce, odczytywał swoje szkolne książeczki.

Pan i pani im więcej poznawali, tem więcej polubili Semeńka, więc jak się miesiąc skończył a czas już było do szkoły — pani obdarowała go obuwiem i bielizną, pan zaś dał mu stary surdut do przerobienia. Semeńko podziękował państwu za ich dobroć, lecz surduta nie wziął, bo jak mówił, żalby mu było porzucać opończę. Więc pan odebrał napowrót dar swój, a z ukontentowaniem poklepał Semeńka po twarzy.

VII.

Wyjazd do szkoły.

Wieczorem wiłją wyjazdu naszych chłopaków do Buczacza ludno i głośno było w Hawryłowej chacie. Z całej wsi parobczacy zeszli się, by Hawryle powinszować pociechy z wnuka. Stary nawet tym razem postawił im wódkę, dał miodu na krupniczek i wesoło łykał wraz z biesiadnikami. Naścia, Iwasiowa matka, mrużyła oczęta do chłopców, szczerzyła śmiejąc się białe ząbki, a stół raz na raz zastawiała pierogami lub gołąbkami.

Zabawa szła więc ochoczo i gwarnie aż do bialuśkiego rana. Skoro świt parobek zaprzągł do wozu kare koniki, matka rzuciła weń synowskie zawiniątko i woreczek pierogów — i wśród wrzasku pijanej rzeszy wyruszyli dziad z wnukiem.

W chałupie rodziców Semeńka nie widno było żadnych przygotowań, nikt z obcych nie przychodził żegnać, prócz nauczyciela wiejskiej szkółki, szczerze przywiązanego do Semeńka.

Z rana poczciwa macierz uściskała syna — a ojciec, zasunąwszy na uszy baranią czapkę, wziął go za rękę i powiódł za sobą. Po drodze wstąpili do cerkwi, klęcząc wysłuchali na tę intencję służby Bożej, a po skończonej mszy, gdy sędziwy pleban pobłogosławił chłopaka, i ukradkiem wsunął mu w kieszeń kilka szóstaków — piechotą ruszyli do miasta.

Dzionek, choć jesienny, był cudownie pięknym; mgła zwolna opadała na dół, jakby osnuwając ziemię srebrną tkanką,, którą zdało się pozłacać słoneczko przyświecające z góry.

Idąc spotykali sąsiadów, kumów i znajomych, a słowami „niech będzie pochwalony“ i „na wieki“ witano się i żegnano.

VIII.

Opiekun Iwasia.

Imci pan Jan Kanty Szymon Zbik, sławetny majster szewski miasta Buczacza usiadł po środku warsztatu, rozparty w zydlu jak król na tronie. Na okrągluśkiej a pełnej, gdyby harbuz twarzy, dwoje drobniutkich niby krecich oczu tuliło się koło czerwonego nosa, który jak pagórek sterczał wśród nich. Spodem gęba szeroko rozpięta od ucha do ucha, jaby stworzona na to, by jeść wiele, a pić jeszcze więcej. Na łbie łysym, gdyby kolano, pozostały tylko dwa długie cieniuśkie kosmyki, które pan majster wiązał w składny węzeł na środku czoła, niby jak dziewczęta pod szyją wstążki.

Na około pana Szymona stała lub siedziała na zydlach lub ławkach liczna czeladź i terminujące chłopaki, a tuż przed nim stał znajomy nam Iwaś.

Pan majster srodze się rozgadał, bo sporo już nadpita butelczyna z wódeczką, która stała przed nim na stoliczku, rozwiązała mu język. Łgał więc co mu ślina na język przyniosła.

— Ho, ho, mosterdziejku! — prawił — i jam nie z jednego pieca chleb jadał; było się tedy i w szkole, ot tu u nas. Świętej pamięci mój dziad, co u pana Kaniowskiego był prawą ręką, golił go, buty mu czyścił i nagniotki wyrzynał, oddał mię do szkoły, wyłoiwszy już naprzód skórę, aby mi nauka szła do łba. Więc człek rady nie rady musiał ślęczyć nad księgami i nocami nie dosypiać. Ale tedy, mosterdziejku, kiedym już kończyć miał szkoły, a byłem sobie chłopiec żwawy i do figlów skory, jakieś licho mię skusiło spłatać figiel panu profesorowi, panie świeć nad jego duszą! Otoż mosaneńku nieboszczyk pan profesor był tak sobie nieprzymierzając tłuściutki a pulchniutki, ot zwyczajnie dobrze mu się działo. Nie wiele tedy myślący pcham igłę w krzesło, na którem w szkole siadywał, tak że ostrym końcem z pół cala wylazła na wierzch, a igła była mocna i gruba, niby szewskie szydło. Pan profesor nie wiedząc mosterdzieju o niczem przyszedł do szkoły, taj buch w krzesło, a tu naraz ból jakiś i jakby odrzuciło go w górę, aż krzyknął! Po nici do kłębka figiel się wydał, więc pan profesor własną ręką — świeć panie duszy jego, rękę miał djable ciężką — wytatarował mi skórę i napędził ze szkoły. Więc tedy mosterdziejku przystałem do rzemiosła i jestem sobie szewc, mospanie i kwita!

Śmiech głośny towarzyszył opowiadaniu, choć często powtarzanemu przez pana majstra, który łyknąwszy sporo okowitki ciągnął dalej:

— Otoż tedy więc, mosterdzieju, ztąd taki ja wyciągam sens moralny, że nie dla psa kiełbasa, nie dla chłopa nauka! Bo proszę Mosaneńku, na cóż zdać mu się mogą te jeometryje, jeografiji, arytmetyki i fizyki? A dopieroż nie mówić o łacinie i grece! Ki djabli mu po tem, lepszy cep lub dratwa — nieprawdaż dziatwa! Jak masz grosze, to i rozum będzie; bo dzisiaj nastały czasy, że człek kłania przed cwancygierem, a przed rublem zdejmuje kapelusz. Dzisiaj kto bogaty, ten mądry — kto biedny, ten głupi; więc gdy pierwszy zmiele, na drugim się skrupi. Dzisiaj to i sprawiedliwość za pieniążki kupi, a bogaty jak zechce to złupi! Powiadam mosterdzieju złupi, z ostatniej

skóry złupi! Więc cała w tem sztuka, aby kieszeń nie była pusta, aby było czem zakropić i brzuszek i usta!

I pan majster jakby na potwierdzenie tego łyknął wódeczki, nos z czerwonego stawał się sinym, a oczka robiły się coraz to mniejszemi.

Iwaś wybałuszył nań oczy, a każde słowo połykał chciwie.

— Więc tedy mosterdzieju, ciebie panie Janie oddają do szkoły — i każą daremniusieńku czas tracić nad książkami. A ja powiadam tobie, że lepiej w młode lata używać świata, a nie szkolnego bata; bo już to nasi Ojcowie Bazyljanie, nie raz jeden wygarbują ci skórę na miękko!

I byłby pan majster prawił do północy, gdy w tem ukazała się na progu majstrow, długa i chuda, jak tyczka od chmielu. Przy lubym małżonku, wyglądała ona kubek w kubek, jak smyczek przy basetli.

Pan Szymon prędziuchno schował niedopitą wódkę pod zydelek, lecz pani majstrowa dojrzała niebieski nos męża najdroższego i piskliwym głosikiem, jak gdyby kto nożem po misce skrobał, zawołała:

— Widzisz no trutnia tego! Św. Józefie, znowu spił się jak cztery dziewki, a te przeklęte gamonie zamiast kończyć robotę, słuchają łgarstwa jego! Dam ja tobie, nicponiu! i podsunęła się bliżej ku milczącemu majstrowi, wysuwając przed siebie dwa kościste kułaki.

— Ruszajcie mi zaraz do wieczerzy! — wrzasła, aż Iwasiowi zapiszczało w uszach. A ty darmojadzie, poczekaj! Rozmówię ja się z tobą, baranku!

Czeladź tłumem jak trzoda owiec, ruszyła do drugiej izby, z niemi Iwaś, a gdy się drzwi przymknęły, słychać było, jakby kłótnię jaką i piskliwy głosik pani majstrowej i pokorne tłumaczenia się pana majstra.

IX.

Dobrodziejka Semeńka.

Tuż obok klasztoru xięży Bazyljanów stał dworek pani Kwiatkowskiej. Widocznie zrazu szczuplutki, z czasem przybudowaniami rozszerzył się i rozprzestrzenił. Dach jego słomiany

miał podobieństwo do starego, połatanego i wymiętego kapelusza, tyle nań było łat, przyczepek i załomów.

W domku tym mieszkała pani Kwiatkowska, utrzymująca u siebie liczną rzeszę studencików starszych i młodszych, a pan dyrektor, zwykle student z wyższej klasy, utrzymywał rygor i porządek między niemi.

Sama pani była to sobie staruszeczka lat z górą siedemdziesięciu, włosów siwych jak piórka gołębicy, a twarzy pomarszczonej nakształt zmiętej bibuły. Lecz nad wiek swój była żwawą i czynną, bo owdowiawszy od lat dwudziestu, zostawiona sama sobie, umiała też sobie dawać radę. Od świtu do późnego zmroku w pokojach, kuchni i na podwórku było jej pełno, wszystkiem zarządzała sama, i dobrze jej z tem było, bo „oko pańskie konia tuczy“, a „kto nie dojrzy okiem, ten dołoży workiem“.

Z wrodzoną sobie dobrocią i łagodnością, z twarzą zawsze uśmiechniętą jakby pogodny dzionek jesienny, umiała godzić często spory swoich malców; dogadzać nie zbytecznym ich zachceniom, wymierzać i odważać ich podwieczorki i śniadania, aby jedna kromka chleb nie była większą od drugiej, albo grubiej nasmarowaną masłem lub powidłem.

Oj miałaż biedna staruszka dosyć roboty i kłopotu, lecz zmartwienia i frasunki ofiarując Bogu i Najświętszej Panience, nie brała ich nader do serca.

Do niej udał się Hnat z synem, niosąc zanadrzem pismo pana wioski, polecające jej Semenka. Staruszka założyła na nos dubeltowe okulary, a przepatrzywszy się wprzódy pieczęci, list przeczytała. Potem bacznie oglądnęła Semenka, i widocznie z pierwszego wejrzenia musiał jej się podobać chłopczyna, bo nie robiąc wiele korowodów, powiedziała, że go bierze do siebie, że za służbę jego da mu strawę i przyodziewek, i w wolnych chwilach pozwoli mu chodzić do szkoły.

Hnat dziękując, staruszeczkę pocałował w rękę, co u niego była rzecz rzadka — bo zwykł był starszym tylko do kolan się kłaniać, i pożegnawszy syna a upomniawszy go, ruszył do domu.

Semeńko po raz pierwszy został sam między obcymi ludźmi — i z razu było mu smutno i tęskno za rodzinną wioską, za matusią, nawet za gruszą dziczką w ojcowskim sadzie. Lecz niebawem polubiony przez staruszkę, nie łajany przez poczciwego pana Michała, dyrektora nad malcami, nie czuł się więcej obcym w obczyźnie.

Nie daremnie to powiada przysłowie nasze: „Dobremu wszędzie dobrze“. (C. d. n.)

RÓŻNOŚCI.

Nauka gromadzka. Wiecie już przecie, że gromady teraz już całkiem inaczej będą się rządzić i sądzić — tak jak cesarz i sejm nakazał. Otoż trzeba koniecznie, aby z was każdy to nowe prawo gromadzkie znał dobrze. Dla tego też donosimy wam, że wyszła taka książeczka co się nazywa: „*Nauka gromadzka, co ją każdy porządny gospodarz dobrze znać powinien.*“ Ta książeczka kosztuje tylko 25 centów, a kupić ją sobie można w każdem mieście, gdzie jest księgarnia. Radzę wam bardzo dostać tę książeczkę, bo bez niej ani rusz zrozumieć nowego prawa gromadzkiego. A kto ją uważnie przeczyta, ten będzie znał nowe prawo dokumentnie.

Skutki nieostrożności. We wsi Lubczy blisko Strzyżowa, w sam dzień św. Szczepana zeszłego roku wśród dnia białego, bo podczas sumy spaliła się stajnia gospodarza z całym jego dobytkiem. Dzięki Bogu czas był spokojny a stajnia o jakie 15 kroków od budynku oddalona. W innym bowiem razie niebezpieczeństwo byłoby o wiele większem i w swych skutkach nierównie szkodliwszem. Podczas wiatru nie tylko tego gospodarza, lecz i sąsiadów jego zabudowania mogły się były stać ofiarą nieubłaganych płomieni. Szkodę obrachowano na 200 złr. Całego nieszczęścia przyczyna była nieostrożność dziewki jak się pokazało, która rano ze świecą w ręku dnia tego do stajni weszła i przez nieuwagę przy objaśnieniu gnot żarzący w słomę rzuciła. Domyślicie się łatwo, że z tego wybuchł pożar. Lecz ku waszej niech to będzie nauce i przestrodze, jak dalece nie tylko z fajkami lecz i ze świecami a więcej jeszcze ze szczypami palącemi nigdy nie należy chodzić do stajen, stodół, komor i t. p., gdyż człowiek ustrzedz się z tem wszystkiem nie potrafi. Najlepsze są latarki dla każdego gospodarza; bardzo mało kosztują a są nieocenione. Najbezpieczniej możesz sobie chodzić z latarką w ręku świeczką oświetloną, i po strychu nawet, i którędy chcesz bez obawy podobnego przypadku.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.